

Na zawsze Różany



Rosa alba flore simplici

Ręka z grzebieniem, dwie twarze w lustrze
Są tylko raz, na zawsze. I niekoniecznie w pamięci.
Abyście byli uważni na to, co jest, chociaż mija,
I w każdej chwili wdzięczni, świętujący wszelkie istnienie.
Ten mały park, zielonawe popiersia z marmuru
W świetle perłowym, w letni drobny deszcz
Niech jak był, kiedy pchnęliście furtkę, zostanie.
I ulica wysokich zliszajonych bram,
Którą ta wasza miłość nagle przemieniła.

Czesław Miłosz, *Po wygnaniu*

Rozdział 3

– Zaprosiłaś ich? Naprawdę? Ludzi, których na oczy nie widziałaś? Na własny ślub?

– Na wesele też.

– Kompletnie oszalałaś.

– Napisałam siedem listów i choć powinnam była się tego spodziewać, rozczarowało mnie jedno...

– Naprawdę masz w związku z tym zaledwie jeden problem? – spytała Marianna tak drwiąco, jak tylko ona umiała.

Zosi teraz jednak nic nie było w stanie wyprowadzić z równowagi, ba, nawet zmieszać, i ciągnęła, jakby nie słysząc:

– ... że odpowiedziały mi tylko dwie osoby: pani Maria Fischer z Nowego Jorku i pan Aleksander Bach z Tel Awiwu.

– Tak? I przyjadą? A co na to Eryk?

– Powiedział, że to świetny pomysł.

– Oczywiście. Ten facet kompletnie nie ma charakteru. Ciepłe kluchy. Pantoflarz.

– Wcale nie. I dobrze o tym wiesz. – Zosia się roześmiała.

Jej szczęśliwy śmiech wypełnił werandę.

„Jak srebrne dzwoneczki – pomyślała Marianna. – Kiczowate, ale pasuje do sytuacji, bo to wszystko to czysty kicz: wieczór panieński ze striptizerem i kawalerski z wódką i panienkami, panna młoda biała jak beza, ksiądz opowiadający dyrdymały o świętości więzów małżeńskich, a w duchu pewnie zazdroszczący panu młodemu nocy poślubnej...”

– No i co z tymi niemieckimi Żydami? Przyjadą? – spytała.

– Jakimi Żydami?

– Z Bachem i Fischerem.

Zosia znów się roześmiała.

– Pani Fischer napisała, że jest dawną przyjaciółką niani i że niania kiedyś przyjęła ją pod swój dach.

– Ciekawe.

– No pewnie. Opowie mi o tym, gdy przyjedzie. Bo obiecała przyjechać.

– A Bach? Też przyjedzie? I może jeszcze zagra na organach?

– Napisał, że jest za stary na takie podróże.

– A kim był dla twojej niani? To może być jeszcze ciekawsze.

– No właśnie nie wiem. Napisał dosłownie dwa zdania: że dziękuje za zaproszenie, że ze względu na wiek nie może przyjechać, ale życzy mi wszystkiego najlepszego. Szkoda.

– Że dobrze ci życzy?

Zosia wyjęła poduszkę spod pleców i rzuciła nią w Mariannę.

Marianna ją złapała i uważnie przyjrzała się przyjaciółce.

– Stało się coś, o czym nie wiem? Czy może tak się cieszysz, że Eryk wyjeżdża? Właściwie to czemu cię nie zabiera? Przecież polubiłyście się z Agnes?

Zosia uśmiechnęła się tajemniczo.

Marianna wycelowała w nią palec.

– Przestań stroić miny i gadaj, co się dzieje.

– Jestem w ciąży. Dziesiąty tydzień.

Marianna zaniemówiła. Siedziała z otwartą buzią i gapiała się na Zosię. Potem zerwała się z fotela i uściskała przyjaciółkę.

– Kochana, tak się cieszę!

– A co dopiero ja!

– To dlatego nie jedzicie razem! Ale czemu mi wcześniej nie powiedziałaś? Taka z ciebie przyjaciółka?

– Musiałam się upewnić. Wiesz, rok temu byłam tak nieszczęśliwa, że chciałam umrzeć, a teraz jestem najszczęśliwsza na świecie...

– Ciii! – Marianna położyła palec na ustach. – Jeszcze cię usłyszysz jakaś zła czarownica. A nic ich tak nie drażni, jak ludzkie szczęście.

Zosia przypomniała sobie nagle zjawę o węzowych oczach, która w noc Walpurgii chciała zabić Eryka. Wolałaby myśleć, że to jej się przyśniło, lecz w głębi ducha wiedziała, że nie. Przebiegł ją dreszcz.

– Powiedziałabym: tfu, tfu, na psa urok, ale obie lubimy psy – zażartowała niepewnie.

– Psów w to nie mieszajmy. I bez tego mają wystarczająco ciężkie życie. Odczynimy urok, mącąc nieco twój doskonały nastrój. – Marianna z powrotem usiadła na trzcinowym fotelu i założyła nogę na nogę. Pasek zsunął się z jej pięty i czerwony lakierowany sandał zakotłosał się na końcach palców. – Więc we wrześniu będziesz w czwartym miesiącu? – spytała i nie czekając na odpowiedź, ciągnęła: – Coś pewnie będzie już widać. A nawet jeśli nie, to ludzie i tak się dowiedzą i zaczną gadać. Nie ukryjesz tego przed naszym proboszczem. Da ci dyspensę na białą suknię i welon?

– Myślałam o tym. – Zosia westchnęła. – Sukienka już kupiona i chyba się w niej zmieszczę, więc choćby z praktycznych względów... – Urwała. – Ale z welonu nici. Muszę wymyślić coś innego.

– Sukienkę włoży się do herbaty i przestanie być biała. W burym każdej matce Polce jest do twarzy. A na głowę proponuję wełnianą czapkę. Mam czerwoną, będzie pasować do sytuacji i do twoich włosów. Przypnie się jakiś kwiatek i po krzyku – powiedziała Marianna zgryźliwym tonem. – Czyś ty oszalała? Żyjemy w średniowieczu czy co? Pójdiesz w tej ślicznej białej sukience i w welonie. Osobiście tego dopilnuję.

– Czego dopilnujesz? – rozległ się głos za ich plecami.

W drzwiach werandy stał Andrzej Androżewski.

Zosia lubiła patrzeć, jak zmienia się twarz Marianny, gdy pojawiał się Androża: rysy jej łagodniały i od razu się uśmiechała.

– Kto ciekawy, nos do kawy – rzuciła Marianna, chyba wyłącznie z przyzwyczajenia, bo bez grama złościwości. – Przynies nam coś do picia. Najlepiej whisky. – Urwała. – Albo nie. W lodówce jest dzbanek z mrożoną herbatą.

– O! Zostałaś abstynentką?

– Tak. Pięć minut temu.

– Gratuluję – zaśmiał się, posłał jej całusa i wszedł do domu.

– Mogę mu powiedzieć? – spytała Marianna.

– Sama mu powiem.

– Pewnie, wszystkie przyjemności dla przyszłej mamy. Kiedy?

– Co kiedy?

– Kiedy mu powiesz?

– Powiemy wam jutro przy kolacji. A ty będziesz udawała, że jesteś zaskoczona.



Marianna zrobiła na kolację faszerowane cukinie z zieloną sałata i młodą fasolką.

– Ta zołza mnie straszyla, że będzie faszerowany łeb świni, a na deser grasica w sosie karmelowym – powiedział Andrzej, czule dotykając dłoni Marianny.

– Musiałam zmienić menu, bo nie dostałam grasicy. Na deser będą racuszki z białego sera i miód. Już podaję.

Marianna wstała od stołu, a za chwilę przyniosła na tacy cztery talerze. Obok racuszków i kleksa gęstej śmietany na każdym leżał kawałek pszczelego plastra.

– Fantastyczny pomysł! – zawołał Eryk.

– Olśniewam nie tylko urodą, nie zauważyłeś?

Rozdział 5

– Wiedziałam, że Indie to będzie jazda, ale nie że bez trzymanki.

– Co ci się najbardziej podobało?

Agnes się zamyśliła. Zdjęła okulary słoneczne i potarła nos.

Eryk kątem oka obserwował jej profil. Jasna skóra, za którą każda Hinduska dałaby się pokroić żywcem, pokryła się leciutką opalenizną. Na nosie miała kilka piegów. Rzęsy zjaśniały na słońcu. Będzie musiała pójść do kosmetyczki i zrobić sobie hennę.

– Wszystko – powiedziała w końcu.

– Nawet ta małpa, która przy świątyni ukradła banana z twojej *pudża*?

– Nawet.

– Nawet ten Hindus ze złotymi zębami, który chciał ci sprzedać pierścionek ze szkiełkiem udającym rubin?

– Nawet on.

Na wąskim poboczu kilka bosych kobiet w różnokolorowych sari, ze złotymi bransoletkami na rękach i nogach, kilofami rozbijało kamienie na drobny tłuczeń.

– Kraina kontrastów – westchnęła Agnes. – Jak to jest, że tutaj taki widok wydaje się czymś naturalnym? Że mi ich nie żal, tylko patrzę na nie z przyjemnością?

– Może to kwestia harmonii? Pasują do tych wzgórz, światła i powietrza. I tłuką kamienie, tak jakby uwielbiały to robić.

Jadący za nimi motocykl przyspieszył i wyprzedził ich. Z tyłu siedziała bokiem, po damsku, młoda kobieta. Fałd tłuszczu na jej ciemnym brzuchu wyraźnie się rysował między krótką bluzeczką a spódnicą niebiesko-złotego sari. Kierowca, z gołą głową i bez okularów, zatrafił przeraźliwie i honda znikła za zakrętem.

– Klakson to tutaj najważniejsza część pojazdu – zaśmiała się Agnes. – Widziałeś tę Hinduskę? Ja bym umarła ze strachu, gdybym musiała tak jechać po serpentynach, w dodatku twarzą do przepaści. Choć pewnie w sari trudno jest usiąść okrakiem.

– Powinien zwolnić. Tu jest ograniczenie do dwudziestu kilometrów.

– To dobrze. Będziemy dłużej podziwiać widoki. I mały są bezpieczne. – Agnes pokazała na stadko, które przysiadło na kamiennym murku oddzielającym drogę od przepaści. – Nie dziwię się, że Anglicy przyjeżdżali tu na letnisko. Wierzchołki gór tonące w chmurach, głębokie zielone doliny, strzeliste sosny i eukaliptusy w błękitnej mgiełce. Pewnie sobie wyobrażali, że to las kaledoński.

– Pewnie tak. Mieli India Club, boiska do krykieta, pole golfowe, korty, ogrody różane. Dobra stara Anglia w miniaturze.

– Udthagamandalam – powiedziała Agnes powoli. – Udthagamandalam. Jak to brzmi! Lepiej niż angielskie Ooty, prawda?

Eryk kiwnął głową.

– Ile mamy do Majsuru?

– Jakieś sto trzydzieści kilometrów.

– Sześć i pół godziny, jeśli cały czas będziemy jechać w tym tempie – policzyła Agnes. – Zdążymy na iluminację Amba Vilas?

– Zdążymy. Ograniczenia prędkości są tylko tu, na serpentynach, potem jeszcze przy przejeździe przez park Bandipur. Będziemy najdalej za trzy godziny.

– To nie spieszymy się, dobrze? Zawsze mi się wydawało, że lubię szybką jazdę, tymczasem tutaj podoba mi się, że kolejka wąskotorowa rozpędza się najwyżej do dziesięciu kilometrów na godzinę i można by zrywać listki herbaty z plantacji, które mija.

– A sprzedawcy ciastek i kawy mogą podawać szklanki z peronu, jeszcze zanim ciuchcia się zatrzyma i gdy już rusza.

– Pierwszy posiłek na pierwszej stacji, kwadrans po wyruszeniu. Przypomniały mi się szkolne wycieczki. Zaczynaliśmy jeść, ledwie wsiedliśmy do autokaru.

– Dlatego przy śniadaniu zrobiłaś sobie kanapkę na drogę?

– A już byłam pewna, że nikt nie zauważył.

– Wytrzymasz do lunchu, głodomorze? – droczył się Eryk. – Jeśli tak, to zjemy w hotelu, a potem możemy iść na mszę do Świętej Filomeny.

– Myślałam, że kościoły są tylko w Kerali.

– Są w całych Indiach. Ten w dodatku jest ogromny. Poczujesz się jak w domu.

– Dlaczego?

– Bo wygląda jak katedra w Kolonii. Architekt właśnie na niej się wzorował.

– Niemożliwe. – Agnes się roześmiała. – Muszę to zobaczyć. Dobrze, że choć święta Filomena pasuje do tego miejsca. Wiesz, że jej imię znaczy „córka światła”?

– Wiem.

Erykowi zrobiło się ciepło na sercu. Przypomniał sobie, jak we czworo, z Zosią, Marianną i Krzysztofem, grali w skojarzenia i jak Zosia na niego patrzyła, gdy opowiadał historię świętej Filomeny.

– A co zaplanowałaś na popołudnie?

– Zwiedzimy pałac Amba Vilas, zjemy obiad w prawdziwej hinduskiej restauracji, bez menu po angielsku i z ćwiartkami gazety powieszanej na

gwoździu do pakowania na wynos, a o siódmej wrócimy do pałacu i obejrzymy indyjskie widowisko światła i dźwięk.

– Brzmi fantastycznie. A później pójdziemy na masaż.

– Spodobało ci się, co?

– Bardzo. Nigdy nie miałam tak gładkiej skóry jak tu. Podoba mi się także, że mężczyźni masują masażystki, a kobiety masażystki, i że są dwie, i że do każdej części ciała używają innego olejku, i pachnie się sandałowcem, paczulą, anyżem... Tylko z masażu uszu, wiesz, ze zwijania ich w trąbkę, bez żalu mogłabym zrezygnować.

– Ja nie lubię, gdy wyciągają mi palce u nóg, tak że trzeszczą w stawach.

– Uhm, to też jest średnio przyjemne. Ale cała reszta bardzo.

– W Kerali są najlepsi masażystki na świecie.

– A tu, w Karnatace?

– Nie wiem. Spróbujemy wieczorem, to się przekonamy.

– A co będziemy robić jutro?

– Pojedziemy na wycieczkę. Chciałem ci pokazać jeden z siedmiu cudów Indii: osiemnastometrowy posąg Gomateśwary, do którego idzie się pod górę, boso, po tysiącu stopni. Poczujesz się jak Guliwer w krainie olbrzymów. A potem pojedziemy do Halebidu i do Belur, gdzie są przepiękne świątynie z dwunastego wieku. Każdy centymetr kwadratowy ich ścian jest pokryty płaskorzeźbami: kamienni muzycanci grają na fletach i bębnach, tancerki wyginają się zmysłowo, wojownicy na słoniach wyruszają w bój, pasterze gnąą stada krów i kóz, pawie rozpościerają ogony, rozwijają się kwiaty lotosu...

Serpentyny się skończyły, ale droga nadal była wąska, nierówna i na długich odcinkach z asfaltowej przechodziła w bitą.

Agnes co chwila czymś się zachwycała: polami pomarańczowych aksamitek, poszarpaną linią pasma Ghatów, bawołem z jednym rogiem pomalowanym na zielono, drugim na czerwono, kolorami sari kobiet sadzących ryż, czarnymi błotnymi bawołami płynącymi przez jezioro, długorogimi krowami, ziemią w kolorze ochry.

Ruch był minimalny. Minął ich jadący od strony Bandipur autobus z turystami, potem pomalowana w kolorowe wzory ciężarówka wioząca na otwartej pacy ryby przesypane lodem, później kilka aut jadących szybciej, niż na tym odcinku było wolno, a w końcu pędzący na złamanie karku motocyklista. Siedzący za nim pasażer jedną ręką obejmował owcę, drugą – metalową bańkę na mleko.

Z bocznej drogi nagle wyjechało auto. Eryk zatrąbił i samochód natychmiast zjechał na wyboiste pobocze.

– Czasem myślę, że w Indiach prowadzą sami niedowidzący – powiedział z westchnieniem. – Włączając się do ruchu, nikt nie patrzy na drogę, reaguje dopiero na klakson.

– Podziwiam, jak sobie radzisz z lewostronnym ruchem i z jazdą w mieście niemal na styk. I to ich wyprzedzanie na trzeciego. Przeróżające doświadczenie.

Chmury piętrzące się na horyzoncie przybliżyły się i zniżały, i nagle lu-
nął deszcz. Wycieraczki nie nadążały ze zbieraniem wody, bo padało tak,
jakby ktoś chlustał wiadrami.

Eryk zjechał na placyk koło jaskrawoniebieskiej kapliczki stojącej na
skraju pól ryżowych.

– Lepiej przeczekać. To monsunowa ulewa, nie potrwa długo. Mamy
szczęście, że jeszcze nie wjechaliśmy do parku. Tam nie wolno się zatrzymywać.

– Zobaczmy tygrysy? Albo słonie?

– Słonie tak, bo w Ghatach jest ich najwięcej na świecie, tylko pewnie
nie dzikie. Droga prowadzi skrajem parku i zwierzęta jej unikają. Tak samo
zresztą jak innych, po których jeżdżą parkowe busy wożące turystów.

Po kwadransie deszcz przestał padać równie nagle, jak zaczął. Chmury
się rozplynęły i zaświeciło słońce.

Zza kapliczki wyszedł chudy pies na długich nogach. Zrobił kilka kro-
ków w stronę samochodu, ale nie odważył się podejść.

– Dam mu kanapkę. Śmiałeś się ze mnie, a teraz będzie jak znalazł.

Agnes wysiadła z auta.

– Chodź, malutki. Dostaniesz coś dobrego.

– Lepiej mu ją rzuć. Tutaj psy są ostrożne. Widziałem, jak ludzie wołali
psa tylko po to, żeby go kopnąć.

Agnes rozwinęła kanapkę i rzuciła.

Pies złapał ją w powietrzu. Dwa razy kłapnął zębami i nie zostało po
niej śladu. Spojrzał na Agnes, która rozłożyła ręce, i jakby rozumiejąc ten
gest, zawrócił i pobiegł przed siebie skrajem drogi.

– Szkoda, że nie mamy nic więcej. Głodne psy i żyjący na ulicy ludzie
to coś, co odbiera mi połowę przyjemności z bycia tutaj.

Eryk wysiadł z jeeпа i podszedł do siostry, ostrożnie stąpając po roz-
mięklej ziemi.

– Dlatego synowie wyruszają w świat, żeby go zdobyć, a córki zostają
w domu.

– Dziewiętnastowieczne przesady.

– Wcale nie. Są rzeczy, które powinnaś zobaczyć, ale są i takie, których
lepiej żebyś nie widziała.

– Nie przypuszczałam, że jesteś taki patriarchalny.
– Nie jestem.
– Jesteś.
– No dobrze, jestem, gdy chodzi o moją siostrę, mamę, przyszlą żonę.
Czy troszczenie się o nie to coś złego?

– Troszczenie nie, ale trzymanie pod kloszem tak.
– Popatrz na swoje buty. Czy panienka trzymana pod kloszem może się tak ubłocić?

Agnes nawet nie spojrzała na adidasy oblepione czerwoną ziemią, ale zmieniła temat.

– Nakarmienie krowy przynosi szczęście. Czy nakarmienie psa to też dobra karma? – spytała.

– Oczywiście. Dobry uczynek zawsze jest dobry.

Agnes się roześmiała.

– Ale mam mądrego brata!

Eryk objął ją ramieniem.

– Chodź, obejrzymy kapliczkę.

We wnęce ozdobionej nanizanymi na nitkę kwiatami jaśminu stał posążek czterorękiego boga z głową słonia, okrągłym brzuchem i skrzącymi się radością małymi oczkami.

Agnes złożyła dłonie jak Hinduska i pochyliła głowę.

– *Ganapati bappa moria! Ganapati bappa moria!* – zanucił Eryk.

– Co to znaczy?

– Nie wiem dokładnie. Tak śpiewają Hindusi podczas święta Ganeśi w Bombaju, prosząc, żeby obdarzył ich błogostawieństwem. Nie zaszkodzi go poprosić, bo jest opiekunem podróżnych.

Agnes rozejrzała się dookoła. Wąska grobla z przepustami i rzędem palm odgradzała pola od wypływającego z jeziora strumienia, który teraz zmienił się w rwącą rzekę. Jasnozielony ryż błyszczał od wilgoci. Na tafli jeziora kołysały się wodne hiacynty i podobne do nenufarów kwiaty lotosu. Brodziła wśród nich biała czapla.

– Już nas pobłogosławił. Popatrz. Krajobraz jak wyjęty z książki Kiplinga.

– Tak, trzeba to zobaczyć, żeby w pełni go zrozumieć. Zresztą nie tylko jego. Eliot w *Ziemi jałowej* nazywa rzekę „brązowym bogiem”. Zrozumiałem, co miał na myśli, gdy zobaczyłem Ganges w porze monsunu.

Ruszyli dalej i po dziesięciu minutach dojechali do budki strażnika przy drewnianym szlabanie. Eryk zapłacił za przejazd i wjechali do parku. Przywitała ich wielka tablica: „*Do not get out of your vehicles*”. Kawalek dalej

stała druga, z wizerunkiem tygrysa, powtarzająca zakaz wysiadania z samochodu, a obok trzecia, zabraniająca zatrzymywania się i biwakowania.

– Ten bambusowy zagajnik działa na wyobraźnię. Jest stworzony dla tygrysów.

– Uhm. A w tamtych zaroślach mogą mieszkać królowe dżungli.

– To znaczy kto?

– Zgadnij.

Agnes zastanawiała się chwilę.

– Nie wiem. Gdybyś zapytał o królowe Himalajów, to powiedziałabym, że gęsi tybetańskie.

– Gęsi? Ja bym raczej powiedział, że pantery śnieżne. Dlaczego gęsi?

– Bo mogą przelecieć nawet nad Mount Everestem. Lecą wyżej niż jumbo jety.

– Skrzydła im nie zamarzają?

– Bardzo szybko nimi machają. Podobno przy sprzyjającym wietrze lecą nawet sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę.

– Fantastyczne. Uroczyście ogłaszam gęsi królowymi gór. Do tej pory nigdy mi się nie kojarzyły z Himalajami.

– A co ci się kojarzyło?

– Kwitnące łąki, kamienne zagrody z owcami i kozami, mlecznobiała struga Gangesu spływająca z gór jak z nieba, niezwykle gwiaździste i mroźne noce. Budziłem się, gdy czapka zsunęła mi się z głowy.

Agnes się roześmiała.

– Pamiętam, jaką minę miała mama, gdy powiedziałaś, że przez tydzień się nie myłeś i nie zdejmowałaś nawet czapki.

– Ale, ale, zagadałaś mnie, a miałaś zgadnąć, kto jest królową dżungli.

– Małpa? Nie, jest za mało dostojna.

– Kobra królewska.

– Brrr... Nie lubię węży.

– A to takie mądre zwierzęta. Szczególnie kobry. Unikają ludzi, a jeśli już staną oko w oko z człowiekiem, to unoszą się, tak żeby mu spojrzeć prosto w twarz, i najpierw pokazują zęby, jak pies...

– Przestań!

Eryk szturchnął siostrę.

– Gdy byłaś mała, bałaś się dotknąć węża na rysunku. A pamiętasz, jak zamykałaś oczy na początku każdego odcinka *Ja, Klaudiusz*, bo przerażała cię żmija pełznąca po posadzce?

– Pamiętam! I ty też popamiętasz, jeśli natychmiast nie przestaniesz!

Jakieś sto metrów przed nimi przez drogę przebiegło zwierzę podobne do dzika, ze sterczącą jak u punka grzywą na głowie i grzbiecie, a za nim dwa warchlaki.

– Patrz! Guziec! – krzyknęła Agnes. – Z młodymi!

– Guźce żyją chyba tylko w Afryce.

– No to indyjska dzika świnia! Dzika! A tam, zobacz, termitiera!

Widzieli jeszcze dzikie pawie i papugi, kilka słoń i dwa słońtka z brązowymi trąbkami, stado jeleni aksis, rudych w jasne cętki, ogryzających pędy bambusa, i mnóstwo motyli we wszystkich kolorach tęczy.

Blisko granicy parku, między lasem a łąkami przechodzącymi w pola trzciny cukrowej, paś się wielki brunatny jeleń z ogromnymi rogami.

– Patrz, sambar, ulubione jedzonko tygrysów.

– Myślałam, że to my jesteśmy tygrysim przysmakiem.

– Nie pochlebiaj sobie. Na nas polują tylko stare, chore albo wyjątkowo leniwe drapieżniki. Smakujemy paskudnie, za to jesteśmy łatwym łupem. Wiesz, że w Indiach co roku kilka tysięcy ludzi ginie bez śladu? Część na pewno w paszczy krokodyla, lamparta albo tygrysa.

– Okropne!

Agnes zamilkła na długą chwilę, w końcu spytała:

– Widziałeś kiedyś prawdziwego dzikiego tygrysa?

– Nie. I nie tęsknię do jego widoku. Wyobraź sobie, że jesteś tu w nocy, sama, w kompletnej ciemności...

– Przestań mnie straszyć! – Agnes przebiegł dreszcz. – Wystarczył mi ten czarny włochaty pająk, którego widziałam na rozlewiskach koło Koczynu. W nocy nie odważyłam się otworzyć okna w kajucie, choć było potwornie duszno, bo się bałam, że pająk albo wąż przelezie przez pręty.

– Więc jednak w Indiach jest coś, co ci się nie podoba.

– Spokojnie bym się obyła bez jadowitych węży i pająków.

– Za godzinę będziemy w mieście, w hotelu urządzonym w jednej z dawnych rezydencji maharadży Majsuru. Tam ci nie będą grozić bliskie spotkania z przyrodą. Będzie za to łożo z baldachimem, przystrzyżony tropikalny ogród i miejski gwar. Ach, zapomniałem o świętych krowach.



– Ile w Indiach płaci się za prąd?

– Nie mam pojęcia. Zastanawiasz się, ile maharadzę kosztuje ta iluminacja?

Siedzieli na kamiennej ławce pod palmą ukształtowaną na wzór pawiego ogona i patrzyli na pałac oświetlony milionami żarówek. Każdy łuk, każda kopuła, każde z setek pałacowych okien były obwiedzione świetlistymi liniami.

– Nad tym też. Myślę jednak, że go stać, i cieszę się, że zaprasza wszystkich, by podziwiali to чудо. Zastanawiam się, jak to jest, że w tyłu wsiach nie ma prądu, tyle domów w mieście jest oświetlonych żarówkami, które ledwie się żarzą, a na nocnym zdjęciu Ziemi Indie świecą jak choinka, oczywiście z wyjątkiem czarnych plam dżungli i gór.

– Może to efekt skali? Jeśliby każdy z miliarda mieszkańców Indii zapalił świeczkę, to byłoby to widoczne z kosmosu.

– Pewnie masz rację. Ale w pałacowej łazience musiałam sobie poświęcić komórkę, bo była oświetlona jedną dwudziestowatową żarówką powieszoną na drucie nad umywalką.

– Sprawdziłaś, ile miała watów?

– Tak. Z ciekawości.

– Galeria obrazów też jest fatalnie oświetlona.

– Szkoda, że nie pozwalają robić zdjęć. Chciałabym mieć fotografię obrazu z orszakiem maharadży.

– Tego ze słoniem zaprzężonym do karocy?

– Tak. Były na nim jeszcze dwa bawoły, cudownie przystrojone, z rogami w złocistych pokrowcach, ciągnące drugą karetę.

– Zrobiłem kiedyś szkic tego obrazu. Więc jeśli ładnie poprosisz...

– Proszę! Najpiękniej na świecie.

– Załatwione!

– Co jeszcze naszkicowałeś?

– Portrety kilku maharadzów i ich żon, pawie z witraży w dachach...

– O! Pawia też chcę!

– Słonia wożącego turystów...

– Nie, słonia nie. Żal mi go. Widziałeś ten szpikulec, którym go poganiają? Hinduska orkiestra wojskowa skończyła grać *Rule, Britannia!* i przez chwilę słychać było tylko wielojęzyczny gwar oraz cykanie świerszczy. Dyrygent uniósł dłonie i zabrzmiała melodia *It's a Long Way to Tipperary*.

– „Do widzenia, Piccadilly, żegnaj, Leicester Square! Daleka, daleka jest droga do Tipperary, ale moje serce zostało właśnie tam” – zaśpiewała Agnes. – Jakie to dziwne, że grają angielskie melodie. To tak, jakby Polacy dla rozrywki grali rosyjski hymn albo pieśń *Swiaszczennaja wojna*.

– Nie, to coś innego. Polacy uważają się za lepszych od Rosjan, a Hindusi snobują się na Anglików. W Radżastanie Brytyjczycy założyli Mayo

College, wzorowany na Eton, dla synów maharadzów. Nawet jedzenie było tam angielskie. Myślisz, że Hindusi go zamknęli albo zmienili, gdy odzyskali niepodległość? Nic podobnego! Różnica jest tylko taka, że kiedyś uczniowie przyjeżdżali do szkoły na słoniach, a dziś limuzynami.

– Kto to powiedział, że aby poznać Indie, potrzebne są trzy życia?

– Nie pamiętam. Ale miał rację.

– Wiedziałam, że Indie mają broń jądrową i program kosmiczny, i czterdzieści procent analfabetów, ale się nie spodziewałam, że po jednej stronie ulicy będzie stać nowoczesny biurowiec, a po drugiej lepianki.

– Bo w Europie biedni nie wchodzi do centrów miast.

– Właśnie. Zaskoczyło mnie, że tu niczego się nie ukrywa, wszystko widać na ulicy: bogate sklepy, biedne stragany i nędzarzy kucających na chodniku koło garści fasoli na sprzedaż. Bieda jest bardzo biedna, a bogactwo niezwykle ostentacyjne.

– Nie widziałas Waranasi, hinduskich wrót między niebem a ziemią. Kto tam umrze, będzie uwolniony z kręgu reinkarnacji, więc umierający ściągają z całych Indii. Stosy pogrzebowe płoną bez przerwy, a prochy wysypuje się do Gangesu. Brodzą w nim niedotykalni i płaskimi sitami łowią płynące rzeką szczątki, szukając złota z zębów i biżuterii bogaczy, których ciała spłonęły na stosie z drogich cedrowych polan. Takie są Indie: cuda mieszają się tu z okropnościami, a „zapach oleju i przypraw z zapachem żądzy i okrucieństwa”.

– To Kipling, prawda?

– Tak. Wiesz, że urodził się w Bombaju? Znał Wzgórza Malabarskie z wiktoriańskimi willami w pachnących ogrodach, z różami oplatającymi tarasy, z gładkimi szmaragdowymi trawnikami, i Chor Bazaar, Targ Złodziejski, gdzie do dziś handluje się starzyzną: połatanymi ubraniami, dziurawymi butami, zardzewiałymi gwoździemi, wyszczerbionymi garnkami. Przysłowie: „Kto nie marnuje, ten nie bieduje” nabiera tu zupełnie nowego znaczenia.

– Dlaczego mi to opowiadasz?

– Bo widziałem, jak w pierwszy dzień z całych sił próbowałaś zobaczyć piękno, o którym tyle razy ci mówiłem, w nędznych lepiankach, bosych ludziach i krzakach pokrytych cementowym pyłem.

– Pierwsze wrażenie było okropne, przyznaję. Potem jednak były Malediwy i ocean, Koczin, plantacje przypraw i herbaty...

– Ale także żebrzące kobiety z niemowlętami na rękach, chude psy i ludzie, którzy rodzą się, żyją i umierają na ulicy – przerwał jej Eryk. – Mimo to Indie rzuciły na ciebie czar.

– To cudowne miejsce, tylko że... Wiesz, gdyby fotografie oddawały zapach, nikt nie chciałby oglądać zdjęć z Indii: plaż, na których rybacy robią kupy, ani miast ze stosami gnijących odpadków, brudnymi krowami i bezdomnymi, którzy nie mają gdzie się umyć ani wyprać swoich łachmanów.

– Nie przyjedziesz tu więcej?

Agnes poprawiła się na ławce, by lepiej widzieć twarz Eryka.

– O co naprawdę ci chodzi? Nie zostawiłeś Zosi, za którą tak tęsknisz, tylko po to, żeby mnie wziąć na wycieczkę.

– Chodzi właśnie o Zosię. Teraz, gdy spodziewamy się dziecka, nie będę mógł tak często przyjeżdżać do Bombaju. Mówiłem ci wczoraj, że pomagam tam kilku rodzinom. Niestety, dorywczo i po amatorsku.

– Chcesz to rozwinąć?

– Chcę założyć szkołę.

– Szkołę? Gdzie?

– W Bombaju. W slumsach. Ścisłe mówiąc, w Sakinace.

– Slumsy... Dreszcz mnie przenika, gdy wymawiasz to słowo.

– I tak powinno być, bo to straszne miejsce. Mam wyrzuty sumienia, że cię w to wciągam, ale wiem, że nikt nie zajmie się tym lepiej niż ty.

– Szkoła... Czego miałyby uczyć?

– Przede wszystkim angielskiego i obsługi komputera.

Agnes zastanawiała się chwilę.

– To chyba dobry program. Często nie rozumiałam Hindusów, którym się wydawało, że mówią po angielsku.

– Ktoś znający angielski i komputer bez trudu znajdzie pracę i będzie mógł zacząć normalnie żyć. To znaczy wyprowadzić się ze slumsów.

– Na jego miejsce przyjdą inni.

– Pewnie tak. To trochę jak próba wyczerpania oceanu łyżeczką, ale jeśli nie zrobimy nic, to jaki świat odziedziczą nasze dzieci? Dzielnice bogaczy otoczone morzem nędzy.

– Nie widzę tego tak czarno. Zgadzam się jednak, że gdyby ci ludzie więcej wiedzieli o świecie, to lepiej by oceniali swoją sytuację i wymyślili, jak ją poprawić. Na przykład opracować projekt...

– Nie widzę tego tak różowo – przerwał jej Eryk z uśmiechem. – Oni nie znają słowa „projekt”.

– To poznają. To, że są biedni, nie znaczy, że są głupi.

Eryk objął siostrę ramieniem.

– Mam ochotę ucałować cię za to, co powiedziałaś, ale nie chcę gorszyć Hindusów. Tu ludzie nie całują się publicznie.

Uśmiechnęła się, widać jednak było, że myślami jest gdzie indziej.

– Można by zrobić zbiorbkę używanych komputerów... Znam informatyka, który jest świetnym fachowcem, a do tego kocha Indie. Był tu chyba ze sto razy i na pewno chętnie przyjedzie sto pierwszy... Początki zawsze są trudne, potem jednak ci, których nauczymy, będą mogli uczyć innych. Możemy liczyć na zarządzających slumsami?

– Ktoś taki formalnie nie istnieje. Zwykle jednak urzędnicy i policja wyznaczają kogoś, kto ma pilnować, by wszystko szło zgodnie z zaleceniami władz i po ich myśli. W Sakinace kimś takim jest Subhasz Sena. Żyje z tego, że tworzy konflikty, które potem rozwiązuje.

– A na władze miejskie?

– Niestety, nie. Sędzia, który wydał nakaz rozjechania buldożerami jednego z nielegalnych osiedli w Bombaju, powiedział, że ci, których na to nie stać, nie powinni mieszkać w mieście.

– Skąd się tam wzięli?

– Przyszli za chlebem, w poszukiwaniu lepszego życia, tak jak kiedyś my, bambrzy. Niektórzy dlatego, że urzędnicy przekonali ich, że dla dobra dzieci powinni się przenieść do miasta. Nawet jeśli potem chcieli wrócić, to nie znaleźli swoich wsi. Na ich miejscu były kopalnie albo wielkie zapory.

– Tutejsi urzędnicy mają uśmiechnięte usta, ale czujne oczy drapieżców.

– Zauważyłaś.

– Łapówki?

– Biorą wszyscy. Od dozorca pilnującego butów przed świątynią po czołowych polityków. Widziałem w Pendżabie prywatną rezydencję członkini rządu stanowego, z setką marmurowych słoni i jej wielkim pomnikiem. Rzeźbiarz uwiecznił ją w garsonce od Diora i z torebką od Chanel. Musiałaby pracować dwieście lat, żeby zarobić na taką posiadłość.

Koło ich ławki przeszli indyjscy skauci w szarych mundurkach i czarnych beretach. Uśmiechnęli się jak na komendę i w dużych dzieciennych ustach błysnęły białe zęby.

– *Good evening* – powiedzieli chórem.

– *Where are you from?* – spytał jeden, mający przypięte do beretu czerwone pióro.

– *From Germany* – odpowiedział Eryk.

– *We love Germany!* – zawołałi.

Orkiestra zaczęła grać *Hello, Dolly*. Skauci tymczasem witali innych białych turystów i z daleka dobiegały ich głosy: „*Good evening*”, a potem: „*We love France!*”.

Agnes się uśmiechnęła.

– Europejczycy powinni być tu znienawidzeni, a tymczasem jesteśmy uwielbiani. Dla takich chłopców warto trochę popracować. Pomogę ci przy szkole.

– Dziękuję. I przepraszam, że nie pozwoliłem ci w spokoju podziwiać iluminacji.

– Dostarczyłeś mi wiedzy przez iluminację – zażartowała Agnes.

– Teraz napawaj się widokiem pałacu, muzyką, świerszczami i nocą. Indie trzeba chłonać wszystkimi zmysłami.

Agnes głęboko odetchnęła.

– Czujesz ten zapach? – spytała.

Eryk wciągnął powietrze.

– Tak. To z tamtego straganu.

– Słodycz miodu, szczypta wanilii, świeżość zimnej wody. I jeszcze... jeszcze jakby zapach zoo, wiesz, smród dzikiego zwierzęcia, piżma, rozkładu, nie wiem.

– To zapach owocu z drzewa chlebowego.

– Nie, to zapach Indii.

Rozdział 14

Patrzył na Poprad, szosę i przyklejone do stromego zbocza domy wczasowe. Pamiętał wszystkie. Zamek, Polonia, Sanato, Elżka, Warszawianka, Malutka. Stały jak kiedyś, tylko ludzi nie było. Przypomniawszy sobie kolorowy tłum wczasowiczów na deptaku przed Domem Zdrojowym. Teraz Żegiestów był jak wymarły.

Jednak Poprad nadal płynął jak wtedy, las był taki sam i kościółek zawieszony wysoko na skarpie, i stacja kolejowa z ażurowym ogrodzeniem i przedpotopowymi ławkami na sześć osób. Wydawało mu się nawet, że poznaje domy po słowackiej stronie.

Powinien wracać. Szedł jednak dalej.

Z deptaka nie zostało prawie nic, tylko popękane asfaltowe ścieżki, muszla koncertowa z dziurawą podłogą, nieczynna fontanna i zardzewiała konstrukcja w kształcie dzbana, która kiedyś była obsadzona roślinami. Dom Zdrojowy straszyl brudnymi oknami i odłazającymi płatami tynku.

Aleksander dotknął zardzewiałego kranu, z którego kiedyś można było nabrać wody ze źródła Zofia. Przypomniawszy sobie jej świeży, lekko szczypiący smak.

Odwrócił się w stronę rzeki i jeszcze raz spojrzął na skarpe po prawej. Willa Żegotka, a nad nią kościółek.

Ścieżka była stroma, ale szedł coraz szybciej, tak jakby tam, na górze, czekała na niego Zuzanna. Jego nogi pamiętały tę ścieżkę, te wyszczerbione schodki, te kamienne tarasy. Zaraz będzie altana...

Serce biło mu jak szalone. Jeszcze zakręcił i zobaczył dom z ciemnych bali na wysokiej kamiennej podmurówce. Willa Orlątko.

Czas spędzony w tamtym pokoju na poddaszu, gdzie teraz na balkonie ktoś zainstalował antenę satelitarną, był chyba najszczęśliwszy w jego życiu. Miesiąc miodowy. Pamiętał każdą chwilę, choć minęło czterdzieści pięć lat.



Zuzia marzyła o miesiącu miodowym w Rózanach, Aleksander pojechał tam więc, by wynająć jakiś dom albo choćby mieszkanie, i poszedł zobaczyć dworek, o którym tyle słyszał.

Przedarł się przez zdziczały ogród, minął zniszczone stajnie i stanął przed domem. Bolał nad postępującą ruiną kamienicy na Stradomiu, nad brudnymi krakowskimi ulicami, zaniedbanymi Plantami. Ale to, co tu zobaczył...

Nie chciał, by Zuzanna oglądała opuszczony i zrujnowany dom, w którym spędziła tyle czasu i z którym wiązało się tyle pięknych wspomnień.

Ale ona się uparła.

Przyjechali więc do Różan i gdy Zuzia zobaczyła rodzinny dom Stasia, a właśnie tam skierowała pierwsze kroki, rozplakała się i Aleksander w żaden sposób nie mógł jej utulić.

Na drugi dzień pojechali na cmentarz w sąsiednim Zalesiu. I znów się rozplakała, tym razem na widok zaniedbanego grobu, na którym był napis: „Władysław Gorzkowski, urodzony w Zalesiu 3 maja 1917 roku, zmarł od ran 8 września 1939 roku. »Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród. Nie damy, by nas gnębił wróg«”.

– Obiecałam pani Gorzkowskiej, że będę dbać o jego grób, i tak dotrymałam słowa – łkała Zuzia, wyrywając chwasty spomiędzy popękanych płyt okalających grobowiec. – Biedak! Jechał na wojnę jak na polowanie. Przed wyjazdem wstąpił do Różan i mówił, że wojna szybko się skończy. Miał rację, dla niego trwała tydzień. Obiecałam mu wtedy, że gdy wróci, zatańczę z nim lambeth walka i wszystkie walce.

– Kochał się w tobie?

– Nie wiem. Może trochę.

– To dobrze, że tu leży, bo inaczej ja musiałbym go zabić.

Nie rozbawił jej ten żart. Łkała jeszcze rozpaczliwiej.

Wyjął z jej ręki oset i pocałował pobrudzone sokiem z mleczy, poranione kolcami palce.

– Spokojnie, kochanie, razem zadbamy o ten grób. Pozwolisz mi?

Pokiwała głową.

– Gołymi rękami nie damy rady, ale poprosimy o pomoc. – Przytulił ją. – Pięknie tu.

Cmentarz leżał na zboczu wzgórza i widać było z niego przymglone pasmo Beskidów, a bliżej kilkanaście stawów przedzielonych gołbami.

Zuzia wytarła oczy i wysiękała nos.

– Kogo poprosimy? – spytała.

– Kogoś, kto mieszka tu blisko i może doglądać grobu.

– Będziemy tu przyjeżdżać, dobrze? W Zaduszki i w rocznicę jego śmierci.

Zapalili znicz, który z sobą przynieśli, a Zuzanna uklękła i modliła się z dłonią opartą o marmurową płytę.

Gdy wstała, Aleksander powiedział:

– Chodź, pójdziemy do kościoła. Trzeba się zorientować, czy grób jest opłacony. Przy okazji zapytamy, kto mógłby się nim zająć.

Zapukali na plebanię. Ksiądz, który przyjął od nich ofiarę zapewniającą wiekuiącą nienaruszalność grobu, był tu proboszczem zaledwie od roku i nie mógł pamiętać mieszkańców dworu w Zalesiu. Pamiętała ich jednak jego gospodyni.

– We Wszystkich Świętych zapalam świeczkę na grobie tego biedaka – powiedziała. – I na innych opuszczonych.

Aleksander zauważył, jak Zuzia drgnęła na słowo „opuszczonych”.

– Czy zechciałaby pani zaopiekować się nim na stałe? – spytał. – Pokryjemy wszystkie koszty.

– Jakie tam koszty – broniła się gospodyni, w końcu jednak zgodziła się wziąć pieniądze.

– Będziemy tu przyjeżdżać i regulować rachunki za ewentualne naprawy. Chcielibyśmy także wziąć pod opiekę inne opuszczone groby.

– Znajdę kogoś do pomocy i gdy następnym razem przyjedzie pan z żoną, nie pozna pan tego cmentarza.

– Jesteś kochany – powiedziała Zuzia, gdy wracali do Różan. – Dziękuję.

– Jestem interesowny, jak to Żyd – zaśmiał się. – Chciałbym cię o coś poprosić w zamian.

– O co?

– Wyjedźmy stąd, bo sobie oczy wypłaczesz.

– Wrócimy do Krakowa?

– Skądże. To nasz miesiąc miodowy.

– To dokąd pojedziemy? Są wakacje i trudno będzie coś wynająć.

– O to się nie martw. Powiedz tylko, dokąd chciałyś pojechać.

Zastanawiała się chwilę.

– W takie miejsce, w którym żadne z nas nie było. Żeby wszystkie wspomnienia, które stamtąd wywieziemy, łączyły się tylko z nami.

Oderwał wzrok od drogi i pocałował Zuzię.

– Morze i Poronin kojarzą mi się z wakacjami z rodzicami i Justyną, Mazury z wakacjami w Schönwalde, Zakopane z babcią...

– Warszawa też odpada i Poznań, i Wrocław, bo tam pracowałem.

– Myślałam o jakiejś małej miejscowości, wiesz, żeby była rzeka albo jezioro i las.

– Może zdamy się na los? Wyjmij ze schowka mapę, zamknij oczy i pokaż palcem jakieś miejsce.

Mapa była za duża, żeby ją całkiem rozłożyć, i Zuzanna spytała:

– Zgadzasz się na góry?

– Z tobą pojechałbym nawet na Księżyc.

Zamknęła oczy, zrobiła dłonią kilka kółek i dotknęła mapy.

– Kielce – przeczytała. – Nie, miasto nie. Spróbuję jeszcze raz. – Znów dotknęła palcem mapy. – Żegiestów.

– Gdzie to jest?

– Nad Popradem, niedaleko Krynicy.

– Świetnie! Nigdy tam nie byłem, a ty?

– Ja też nie.

– No to jedziemy do Żegiestowa.



Droga biegła wśród wsi i lasów, potem brzegiem Popradu.

– Sucha Struga, Kokuszka, Banie. Jakie ładne te nazwy – cieszyła się Zuzia.

Wreszcie zobaczyli tablicę z napisem „Żegiestów”.

Po lewej stronie były tory kolejowe, za nimi góry i las, po prawej – domy wczasowe i domki kempingowe w ogródkach.

Aleksander jechał powoli. Przyglądali się domom.

– Ten mi się podoba. – Zuzia wskazała zieloną drewnianą willę z oszkloną werandą. – Beskid. Ładnie się nazywa.

– Popatrz na ten plac zabaw i chmarę dzieci. Nie będziemy mieć chwili spokoju.

Dojechali do rozjazdu do Żegiestowa-Wsi i Żegiestowa-Zdroju. Powyżej, na wzgórzu, stał duży dom w stylu art déco.

– Ten też ładny. Zosieńka. Lubię zdrobnienia imion jako nazwy domów.

– Trochę za blisko torów i przejazdu kolejowego. Jeśli nie znajdziemy nic lepszego, to tu wrócimy, dobrze?

Pocałowała go w odpowiedzi.

Przejechali przez wiadukt i zobaczyli panoramę Żegiestowa-Zdroju.

– Jak tu pięknie! – zawołała Zuzia. – Zamek, no bo czy ten dom nie przypomina warowni? O, Polonia, jak przedwojenny hotel, a tam Sanato...

– Neon zgasł w połowie...

– I Malutka, popatrz, jaka urocza!